

Na patencie

„Wyzwolenie” jest kolejnym spektaklem Radka Rychcika z serii „od klasyki do Ameryki”

Czekalem na to „Wyzwolenie” Wyspiańskiego z lekkim niepokojem ze względu na docierające z Krakowa informacje o tym, że w trakcie przygotowań do spektaklu Radek Rychcik pojechał z aktorami tamtejszego Teatru im. Juliusza Słowackiego do Auschwitz i wszyscy przeżyli tam zbiorowy wstrząs. Lepiej późno niż wcale - pomyślałem. Tylko z jakiego powodu ta wycieczka akurat w ramach „Wyzwolenia”?

Jak się okazuje, „Wyzwolenie” Rychcika jest kolejnym spektaklem z serii „od klasyki do Ameryki”, która przyniosła mu trzy lata temu jakże zasłużone uznanie za „Dziady” Mickiewicza w Teatrze Nowym w Poznaniu.

Tamten spektakl był odlotowy i zapoczątkował serię niezbyt udanych adaptacji, żeby wymienić rzeszowską „Balladynę”, tarnowską „Grzybę” i katowickie „Wesele”. I oto wkracza Radek Rychcik do architektonicznie oszalałego i artystycznie zatęchłego Teatru im. Słowackiego, by wystawić „Wyzwolenie”.

Tym razem akcję umieścił w szkolnej klasie (świetna scenografia Anny Marii Karczmarzkiej), żywcem wyjętej z amerykańskiego musicalu, a z Konrada (słaby Rafał Dziwiś) zrobił polonistę - i trzeba przyznać, że ten zabieg nawet działa, ale tylko wtedy, kiedy aktorzy mówią Wyspiańskim. Niestety, reżyser dodał wielkiemu krakusowi i „Buszującego

w zbożu” Salingera, i ten nieszczęsny Holocaust, co to się pojawił, kiedy Rychcikiem wstrząsnęła wizyta w Auschwitz. To wszystko jest niepotrzebne i psujogenne. Sprawia, że potencjalnie całkiem udane przedstawienie staje się w przekazie mało sensowne, choć inscenizacyjnie atrakcyjne. W dużej mierze za sprawą roboty scenografki oraz Michała i Piotra Lisów, którzy zawsze robili w teatrze wspaniałą muzykę, ale tym razem przeszli po prostu sami siebie! Ich niemilkąca muzyka niesie właściwie cały spektakl, bo na pewno nie niosą go aktorzy. ● **Mike Urbanik**
St. Wyspiański „Wyzwolenie”, reż. Radosław Rychcik, Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie



SZTUKA

Kobiety do architektury weszły od kuchni

Architektka – tak określano kobiety w zawodzie architekta w latach 20. Dopiero w okresie PRL-u językoznawcy „architektkę” uznali za dziwactwo i zastąpili ją „architektem”

W 1938 roku ostrzyżona na chłopczycę kobieta odczytała referat pod tytułem: „Architektka buduje dom”. Rzecz zdarzyła się podczas I Kongresu Socjalno-Obywatelskiej Pracy Kobiet, a referentką była Barbara Brukalska – czołowa architektka dwudziestolecia międzywojennego, pierwsza w historii kobieta profesor architektury. Że „architektka”? Nic dziwnego. Przecież tak określano kobiety w zawodzie architekta w latach 20. Jednak w okresie PRL-u językoznawcy „architektkę” uznali za dziwactwo i zastąpili ją „architektem”. A że kobieta „buduje dom”? Właśnie tak – awangardowa retoryka wspierała emancypację kobiet i postulowała ich dostęp do wszelkich zawodów. Lansowała również idee równości społecznej i „jednakowości płci”. Mimo to co jakiś czas wpływała kwestia płci twórczyni. Na przykład u Brukalskiej,

która opowiadając o swoim zawodzie, sięgała po porównania rodem z „Pani Domu” – kobieta architekt to według niej „kucharka doskonała” trudniąca się wyrabianiem „ciasta, z którego ulepione są miasta”. Kuchenne analogie być może nic nie znaczą, a może coś w nich jednak jest? Do architektury bowiem kobiety „weszły od kuchni” – jak przekonuje profesor Marta Leśniakowska. Otóż w XIX wieku amerykańskie panie domu, które przecież przez stulecia nie miały nic do powiedzenia w kwestii

budownictwa, uczyniły z kuchni centrum mieszkania (kiedyś znajdowała się na tyłach domów), wpływając tym samym na kształt tworzonych przez mężczyzn projektów architektonicznych. Tradycyjnie to mężczyzna budował dom (i sadził drzewo, i płodził syna), do którego kobieta się po prostu wprowadzała. „Domowe inżynierki” z mieszkanką projektowanej przez mężczyzn przestrzeni stały się owej przestrzeni kreatorkami. Prawdziwa kuchenna rewolucja. W tym kontekście gładzenie o „babach do garów” i „miejscu kobiety w kuchni” brzmi jak obietnica wyzwolenia z patriarchalnego kieratu. Wkrótce (pod koniec XIX wieku w USA i Europie) zaczęła się pojawiać nowa grupa zawodowa – kobiety architektki. Przełom nastąpił w Polsce z opóźnieniem, bo warszawski wydział architektury drzewi dla studentek otworzył w 1915 roku. Ale mimo że później, to z rozmachem

– w latach 1922-39 Warszawie przybyło 99 architektek, co stanowiło ok. 12 proc. wszystkich studentów (w porównaniu z normą europejską – ok. 5 proc.). Powód do dumy jest, tyle że opracowań działalności modernistek na polu architektury jakoś niewiele. Bo kto słyszał o tak ważnych postaciach, jak Diana Reiterówna, Halina Skibniewska, Jadwiga Grabowska-Hawrylak, Janina Czarnecka? Większość nazwisk brzmi cokolwiek obco, a te, które obily się o uszy, funkcjonują nieodzwonnie w duecie z mężem. Bardziej znamy Brukalskich niż Brukalską, Syrkusów niż Syrkus, Piotrowskich niż Hryniewicką-Piotrowską. Stąd książki pokroju „Architektki” – pracy zbiorowej poświęconej kobietom w architekturze pierwszej połowy XX wieku – są tak ważne i potrzebne. ● **Aleksandra Zbroja**
„Architektki”, pod redakcją Ewy Mańkowskiej-Grin, wyd. EMG, Kraków 2016

